

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.
Czynne od g. 1 — 3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona — 80 zł.
1/2 " — 40 "
1/4 " — 20 "
1/8 " — 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr

Wrogowie państwa.

W ciągu ostatnich kilku tygodni uległ parokrotnej konfiskacie „Dziennik Wileński“, między innymi za zamieszczenie w streszczeniu mowy posła Trampczyńskiego na posiedzeniu komisji budżetowej sejmu. Z tego powodu „Dziennik Wileński“ wystąpił z artykułem p. t. „Czy w Wilnie konstytucja nie obowiązuje?“, w którym, powołując się na artykuł 31 konstytucji, opiewający, iż „nikt nie może być pociągnięty do odpowiedzialności za zgodne z prawdą sprawozdanie z jawnego posiedzenia Sejmu i komisji sejmowej“, utrzymuje, iż konfiskata pisma była sprzeczna z obowiązującym prawem. „Nie wolno pociągać do odpowiedzialności i konfiskować z powodu sprawozdania sejmowego — dodaje „Dz. Wil.“ — nawet wtedy, gdy któryś z posłów wygłosił przemówienie antypaństwowe, lub gdyby mówił nieprawdę“.

Gdy jednakże nieco wcześniej został skonfiskowany druk ulotny, zawierający przemówienia posłów białoruskich Hauryluka i Wołyńca, wygłoszone w Sejmie podczas debaty nad nagłością wniosku w sprawie zamknięcia gimnazjum białoruskiego w Radoszkowiczach, „Dziennik Wil.“ zamieścił wiadomość o tem bez jednego słowa krytyki, owszem z wyraźnym zadowoleniem, które go nigdy nie opuszcza, gdy ma do zanotowania fakt takiej lub innej represji, skierowanej przeciwko mniejszościom narodowym.

Wogóle organy endeckie bardzo lubią obecnie rozprawiać na temat praworządności, swobód obywatelskich, wolności prasy, ale i teraz nawet, gdy na własnej skórze odczuwają wszystkie braki i niedomagania ustroju konstytucyjnego u nas, nie umieją się zdobyć na pozorną chociażby bezstronność i uskarżając się ustawicznie na krzywdy i prześladowania, jakie spotykają coraz częściej prasę t. zw. narodową, z głęboką satysfakcją witają każdy objaw „polityki twardej

reki“ w stosunku do tych żywiołów, do których nacjonalizm wszechpolski czuje przyrodzoną awersję.

Cynizm i deprawacja moralna tak głęboko się zagnieżdżyły w duszy endeka polskiego, że nie jest on organicznie zdolny do zrozumienia najelementarniejszych zasad, na których się opiera ustroj nowoczesnych państw demokratycznych. Równouprawienie wszystkich obywateli bez różnicy wyznania i narodowości, wydaje się wciąż wyznawcom ideologii egoizmu narodowego czemś tak samo potwornem, jak reforma rolna, oparta na przymusowym wywłaszczeniu — nieprzejednanym agrarjuszom lub ośmiodzinny dzień roboczy zwolennikom teorii „laisser faire, laisser passer“. Jakże mocno się obruszyła prasa endecka na ministra Składkowskiego, gdy ten w swej mowie z powodu zaburzeń lwowskich potraktował jednakowo demonstrantów ukraińskich i wszechpolskich.

Czyż można stawiać na jednej linii żywioły narodowe i antypaństwowe? Argument ten stale jest wysuwany przez prasę endecką, z którą zresztą na tym punkcie solidaryzuje się opinia szerokich kół społeczeństwa polskiego. Stanowisko antypaństwowe, nielojalność państwowa — są to zarzuty stawiane niemal na każdym kroku, gdy chodzi o zadanie najbardziej dotkliwego ciosu przeciwnikowi. Wszakże nie tak dawno podobne oskarżenie właśnie cisnął w oczy „Dziennikowi Wileńskiemu“ — „Kurjer Wileński“, który w ocenie rządów pomajowych przez organ p. Obsta, dopatrywał się „zbrodniczych, bo krzywdzących już nie rząd, a państwo rozumowań“. A znów ten sam „Kurjer Wileński“ niejednokrotnie był przez prasę endecką pomawiany o tendencje antypaństwowe z powodu jego stanowiska w sprawie zagadnień narodowościowych i autonomicznych.

Zarzutem antypaństwowości szermuje się na prawo i na lewo, ale mało kto — nie wyłączając władz, które bardzo lubią się nim posługiwać —

zdaje sobie sprawę, co należy rozumieć pod wyrażeniem „stanowisko państwowe”.

W tych dniach otrzymaliśmy pismo okólne Związku wydawców czasopism w Warszawie, gdzie jest mowa o organizacji prasy, stojącej „na stanowisku państwowem”. Któż ma decydować, które pismo jest lojalne wobec państwowości polskiej, a które nie? I jakie kryterjum ma być przyjęte dla takiego rozróżniania?

Jedynie anarchiści wyraźnie zwalczają państwo. Już o komunistach tego powiedzieć nie można. Właściwie komunistom tylko można zarzucić, że dążą do zniesienia odrębnych form państwowych i przekształcenia całego świata na jeden wielki związek rad włościańsko-robotniczych. Ale i zwolennicy Pan-europę również chcą utworzenia europejskich Stanów Zjednoczonych, a nikt ich nie prześladuje za taką propagandę. Jeżeli zaś chodzi o obalenie obecnego ustroju wewnętrznego, to socjaliści w gruncie rzeczy nie ustępują komunistom pod względem radykalizmu swych dążeń, jednakże działalność ich jest tolerowana i oficjalnie uznawana. Panuje więc zupełna dowolność w ujmowaniu prądów ideowych i poszczególnych kierunków społeczno-politycznych.

Jeszcze trudniej umotywić zarzut stanowiska antypaństwowego, jeżeli chodzi o irredentę czy to ukraińską, czy białoruską, czy litewską. Z nielicznymi wyjątkami żaden z rozsądnych polityków tych narodowości nie jest wrogiem państwa polskiego. Przeciwnie większość z nich uważa istnienie niepodległej Polski jako warunek nieodzowny i gwarancję niepodległego bytu Litwy, Białorusi, Ukrainy. Walka z imperjalizmem polskim nie jest jeszcze zamachem na państwo polskie. Dążenie do zmiany obecnych granic również nie może być poczytywane z reguły za czyn antypaństwowy. Niewątpliwi patrjoci polscy mogą uważać zmiany terytorjalne, nawet w kierunku uszczuplenia obecnego stanu posiadania za korzystne dla interesów państwowych polskich. Swego czasu „Nowoje Wremia” uzasadniało przekonywująco konieczność pozbycia się przez Rosję Królestwa Polskiego, a nikomu przecież w głowę nie przyszło oskarżać Mieńskiego o tendencje antypaństwowe.

Jeżeli zajrzemy do historii ostatnich czasów Austrii, Anglii i innych konstytucyjnych państw etnicznie niejednorodnych, to przekonamy się, że działały tam swobodnie najrozmaitsze organizacje i kwitła tam w najlepsze propaganda o takim zabarwieniu, jakie obecnie w oczach świeżo upieczonych państwowca polskiego uchodzi za nieomylną oznakę niedopuszczalnych nastrojów antypaństwowych. Przed wojną Władysław Studnicki usilnie agitował za wyodrębnieniem Galicji i najzagorzalsi centraliści wiedeńscy nie oskarżali go o zdradę stanu, a u nas dość wspomnieć o wyodrębnieniu Wileńszczyzny, ba, wystarczy użyć wyrażenia Białoruś Zachodnia lub Litwa Wschodnia, by uzyskać markę nieprawomyślności i zostać napiętnowanym mianem wroga państwo-

wości polskiej. Wystarczy czasem nawet odezwać się z przekąsem o kulturtregerach warszawskich lub galicyjskich, by zostać pociągniętym do odpowiedzialności za szerzenie antagonizmów dzielnicowych! Do takiej śmiesznej przesady może doprowadzić zbytnia i fałszywie pojęta dbałość o interesy państwowe.

Czas już wielki poddać gruntownej rewizji panujące powszechnie mylne wyobrażenie o istocie czynu i stanowiska antypaństwowego. Ścisła definicja tych pojęć jest oczywiście zadaniem prawników. Do nich należy położenie tamy zbyt szerokiej i dowolnej interpretacji odnośnych paragrafów prawa, stosowanej przez władze administracyjne i sądowe, za pomocą wprowadzenia niezbędnych zmian do obowiązującego kodeksu karnego, będącego przeżytkiem ustroju despotycznego, w duchu nowoczesnego ustawodawstwa. Ale i publicystyka polska ma tu szerokie pole do działania. Powinna ona z większym umiarkowaniem i większą ostrożnością szafować zarzutem antypaństwowości. Metody bowiem, obecnie praktykowane w prasie polskiej, mocno przypominają tylokrotnie uwieczniane przez rozmaitych satyryków i karykaturzystów rysy obyczajowe wszelakich neofitów, nuworyszów i świeżo uszlachconych ekonomów.

Nie trzeba zapominać, że kryterjum absolutnego dla oceny zjawisk politycznych niema ani w czasie ani w przestrzeni. To co dla jednego jest występkiem, dla drugiego jest cnotą i odwrotnie. Nacjonalizm i centralizm są uważane przez federalistów za dążenia zgubne dla państwa, a taką samą opinię w oczach endeka mają tolerancja i dążenia autonomiczne. Parę dziesiątków lat temu projekt home-ru lu dla Irlandji nieprzejeżdżanym tradycjonalistom angielskim wydawał się zamachem na całość W. Brytanji, a dziś Irlandja posiada względną niepodległość, i interesy Anglii nic na tem nie ucierpiały. Anglik, któryby za czasów Gladstona wystąpił z dowodzeniem o konieczności udzielenia Irlandji takich praw, jakie ona dziś otrzymała, niewątpliwie wywołałby ogólne oburzenie, (choć napewno nie zasiadłby na ławie oskarżonych), a czyż właśnie taki przewidywany polityk nie byłby większym patrjotą, niż ci krzykacze, którzy nie chcieli dopuścić do żadnych ustępstw, zmarnowali tyle środków i energii, narazili kraj na mnóstwo strat, przysporzyli mu tyle ofiar by po upływie kilkudziesięciu lat — może nie jeden z nich dożył jeszcze tego widoku — doczekać się rezultatów, wręcz przekreślających cały ich wysiłek i nadzieje?

Historja uczy, że nie zwalczanie, lecz popieranie wszelkiego maksymalizmu politycznego winno być poczytywane za czyn antypaństwowy.

Nasze dezyderaty.

Z inicjatywy p. Ludwika Chomińskiego, jako członka zarządu Instytutu badań spraw narodowościowych we wtorek 11 b. m. odbyło się w lokalu Stowarzyszenia Techników w Wilnie zebranie dyskusyjne z udziałem 60 osób wszystkich narodowości, kraj nasz zamieszkujących, na którym redaktor „Przeglądu Wil.” wygłosił referat p. t. „Odrębne właściwości naszych stosunków narodowościowych w związku z zamierzonym powszechnym spisem ludności” Referat wywołał ożywioną dyskusję. Z braku miejsca nie możemy podać ani referatu w całości ani też sprawozdania z dyskusji, która zawierała b. ciekawe momenty. Poprzestajemy jedynie na zamieszczeniu w streszczeniu referatu naszego redaktora

Żaden ze spisów ludności, jakie były dokonywane w naszym kraju czy to przez władze rosyjskie, czy to niemieckie, czy polskie nie dał wyników zadowalających, wszystkie bowiem spisy ludności — jak to stwierdza profesor lwowski Eugenjusz Romer — podlegają wpływowi zasad i celów polityki państwowej. W środowiskach wszakże o wysokim poziomie kulturalnym, gdzie ludność posiada dostateczne uświadomienie narodowe i polityczne, tendencyjność czynników kierowniczych ma bardzo ograniczone pole do działania i obraz statystyczny danego terytorjum nie zbyt odbiega od rzeczywistości. Inaczej jest zupełnie tam, gdzie ludność się znajduje na niskim szczeblu rozwoju kulturalnego i gdzie odrębności językowe i narodowe nie występują dobitnie. Jest to prawdziwa mętna woda, z której zrzeczny rybak może wyłowić takie ryby, jakie mu się będzie podobało.

Spis powszechny ludności, przeprowadzony przez władze rosyjskie w r. 1897 ma już ustaloną opinię. Liczni krytycy o najrozmaitszych poglądach gruntośnie go zbadali, oświecili i wykazali wszystkie jego braki. Ze względu na zmienione warunki polityczne i znaczną odległość czasu, która go dzieli od chwili obecnej, nie posiada on obecnie żadnej wartości praktycznej. Spis niemiecki z r. 1916 został dokonany w wyjątkowych okolicznościach, przez władze wojenne, na niewielkim stosunkowo obszarze naszego kraju, dlatego nie może być brany pod uwagę. Zresztą wyniki spisu nie zostały podane do wiadomości publicznej i nie są znane dokładnie. Trzeci z kolei powszechny spis ludności, przeprowadzony przez Zarząd Cywilny Ziem Wschodnich w r. 1919 na terenie mniej więcej trzech byłych gubernij: Wileńskiej, Mińskiej i Grodzieńskiej również pozostawia wiele do życzenia. Na wartość jego naukową rzuca dostateczne światło fakt, że zarząd centralny spisu, już po opracowaniu tablic dla wszystkich powiatów i okręgów, przystąpił do przeprowadzenia biurowej korekty tych rezultatów przy pomocy badania imion własnych oraz na podstawie rozmaitych dowolnych kombinacji. Wspomina o tem wyraźnie zmarły niedawno znany badacz kwestyj narodowościowych ś. p. Edward Maliszewski w czasopiśmie „Wschód Polski” (№ 10 — 11 z r. 1910). Wreszcie czwarty spis datuje się z września 1921 r. Nie obejmuje on terenu Litwy Środkowej, nie posiada więc skutkiem tego dla nas większego znaczenia, ale i dla tego obszaru, na którym został dokonany, ma wartość wysoce problematyczną.

Na zawarte w nim sprzeczności zwrócił uwagę szereg badaczy, między innymi Leon Wasilewski i Konstanty Srokowski. Ten ostatni w głośnie swej

broszurze „Sprawa narodowościowa na Kresach Wschodnich” wskazuje na kilka najbardziej rażących szczegółów. Między innymi spis z r. 1921 w ogólnej swej sumie z trzech województw nie tylko nie wykazuje żadnych Białorusinów katolików, ale przeciwnie liczbę Polaków powiększa o przeszło 20% prawosławnych. W cyfrach spisu znikają tedy Białorusini katolicy, którzy notorycznie istnieją, natomiast pojawiają się Polacy wyznania prawosławnego i to w poważnej liczbie 229,599 głów, czyli przeszło 20% ogółu wykazanych przez spis Polaków. Okazuje się więc, że Białorusinów jest mniej niż prawosławnych, nie mówiąc już o Białorusinach katolikach. Natomiast Polaków jest o wiele więcej niż katolików.

Słowem nie mamy dotąd wiarogodnych danych cyfrowych, odzwierciedlających dokładnie stosunki narodowościowe w naszym kraju. Wobec tego należałoby powitać z uznaniem zamiar istniejący w sferach rządowych przeprowadzenia nowego powszechnego spisu ludności w r. 1930 pod warunkiem wszakże, że będzie on zorganizowany na innych podstawach, niż spisy dotychczasowe i że zostaną w nim uwzględnione wszystkie odrębne właściwości naszych tu stosunków narodowościowych, których nie przewidują ogólne schematy statystyczne, opracowane dla terytorjów z mniej skomplikowaną strukturą etniczną.

Z góry przedewszystkiem należy zrezygnować z nadziei osiągnięcia wyników pewnych i niezbitych. Jest to zupełną niemożliwością w kraju, gdzie spory odsetek ludności nie uświadamia sobie wcale, do jakiej narodowości należy i gdzie nawet obiektywne dane nie pozwalają na zaliczenie danej jednostki lub nawet całej grupy mieszkańców z całą pewnością do tej lub owej narodowości wskutek istnienia znacznych obszarów etnicznych o charakterze przejściowym i mieszanym. W wielu wypadkach nawet specjalista językoznawca nie potrafi określić bez dłuższych badań, jakim językiem, a raczej jaką gwarą posługuje się ludność na pograniczu obszarów językowych białoruskiego i polskiego (obwód białostocki), białoruskiego i ukraińskiego (Polesie), a w pierwszym rzędzie w Wileńszczyźnie, gdzie pierwiastki litewski, białoruski i polski pomieszały się ze sobą tak gruntośnie i stopiły się nieraz w ciągu wieków w taki amalgamat, że zastosowanie doń terminu „tutejszości” bynajmniej nie zakrawa na humorystykę.

Niedawno korespondent „Słowa” z Brukseli wspominał, że dowcipnisie dzielą ludność Belgji na Walonów, Flamandów i... Brukselczyków. Wydaje mi się, że ten rzekomy dowcip zawiera sporą dozę prawdy i trafnej obserwacji. Bruksela leży na pograniczu obszarów etnicznych walońskiego i flamandzkiego i niewątpliwie ludność tego miasta i jego okolicy musiała wytworzyć w ciągu długich lat współżycia i krzyżowania się odrębny typ psychiczny, kulturalny, i poniekąd językowy co razem daje pewną nową odmianę narodowości. Tembardziej u nas w Wileńszczyźnie, gdzie nie dwa, lecz trzy pierwiastki językowe i etniczne złożyły się na wytworzenie przeciwnego typu mieszkańca śmiało można zaryzykować twierdzenie o istnieniu odrębnej narodowości „wileńskiej”, do której należałoby zaliczyć tych wszystkich, którzy nie umiając po litewsku podają się za Litwinów albo nie umiając po polsku uważają się za Polaków. Jest to jednak zagadnienie przyszłości i bynajmniej nie mam zamiaru już dziś wysuwać postulatu uwzględniania tej kategorii narodowościowej w projektowanym za rok spisie ludności.

Natomiast uważam za niezbędne dla zebrania jaknajbardziej wyczerpującego materiału statystycznego uwzględnienie obok rubryk wyznaniowej i narodowościowej również rubryki językowej. Dopiero zestawienie języka i narodowości może rzucić nieco więcej światła na oblicze duchowe ciemnej i nieświadomionej ludności miejscowej.

W środowisku, gdzie narodowość jest utożsamiana często z wyznaniem i przynależnością państwową, gdzie ten sam osobnik powiadał o sobie przed wojną: „Russkij”, a dziś mówi: „tu Polscza, znaczy się ja Polak”, gdzie ludzie inteligentni nie tak dawno w rubryce narodowości pisali: „Siewiero - zapadnaja” i gdzie całe masy na pytanie o narodowość nie mogą udzielić żadnej odpowiedzi, opieranie się jedynie na kryterjum subiektywnem jest mocno zawodne i statystyka narodowościowa, posługująca się wyłącznie taką metodą musi grubo szwankować. Wprowadzenie czynnika obiektywnego, jakim jest język domowy pozwoli na bardziej prawidłowe wnioski, a w każdym razie da pełniejszy materiał surowy, który zarówno dla badaczy naukowych, jak polityków będzie miał wartość pierwszorzędą.

Trudności, o których wspominałem wyżej, dotyczące niemożności dla laika ścisłego określenia w wielu wypadkach języka, jakim się dana jednostka posługuje w życiu domowym dadzą się usunąć w ten sposób, że obok wyraźnych języków polskiego, litewskiego i białoruskiego (inne nas na razie nie obchodzą) zostaną uwzględnione gwary mieszane polsko-litewsko białoruskie oraz dwujęzyczność — zjawisko dość rozpowszechnione w naszym kraju. Określenie „tutejszy” również nie powinno być przez spisywaczy ani lekceważone ani sztucznie przez nich precyzowane. W zestawieniu z językiem pozwoli ono zbadać, jakiego pochodzenia i jak liczna jest ta kategoria ludności, nie posiadająca uświadomienia narodowego.

Oczywiście wszystkie te odrębne właściwości naszych pogmatwanych i płynnych stosunków narodowościowych wymagają przede wszystkim inteligentnego i odznaczającego się dużym obiektywizmem personelu statystycznego. Łatwiej o pierwsze, niż o drugie. Mały kurs przygotowawczy może w krótkim czasie wykształcić odpowiednie kadry spisywaczy, którzy potrafią zrozumieć i uwzględnić wymienione wyżej charakterystyczne cechy miejscowe. Bezstronność i dobra wola są rzeczą trudniejszą. Byłoby pożądane, aby w miejscowościach z ludnością mieszaną, spornych pod względem składu narodowościowego spisywacze rekrutowali się nie z jednej narodowości, lecz z dwóch i aby wzajemnie kontrolowali siebie. Podniesie to niewątpliwie koszty spisu ludności, ale jednocześnie zapewni jemu istotną wartość, której nikt już nie będzie miał prawa kwestjonować.

Oto są najglówniejsze dezyderaty, które Instytut Badań Spraw Narodowościowych powinien po starannem opracowaniu i umotywowaniu złożyć czynnikom, powołanym do przeprowadzenia spisu.

L. A.

Usłużny Włoch.

Polska Agencja Telegraficzna podaje obszernie streszczenie artykułu dziennikarza włoskiego Verganiego w dzienniku „Corriere della Sera”. Artykuł, zatytułowany „Widzowie” traktuje o Żydach w Polsce, w szczególności w Wileńszczyźnie.

Nazwę tę nadał autor Żydom w Polsce twierdząc, że rola ich w państwie polskim, polega na przyglądaniu się wysiłkom Polaków, dążących do wzmocnienia własnego państwa, przyczem masy żydowskie nie biorą w pracy państwowej żadnego udziału. Vergani pisze, że powinni oni być wdzięczni Polsce, która dała im równouprawnienie i niezależność, odsuwając ich jednocześnie od widma pogromów, jakie nad nimi wisiały w dawnej carskiej Rosji.

Kto na tej zmianie zyskał? Oczywiście Żydzi — pisze Vergani — i to nie tylko ci, którzy zamieszkują Wilno i Kresy Wschodnie, ale i ci, których jest dwa miliony w całej Polsce. Otrzymali oni bowiem kapitał swobód i wolności, od którego nie omieszkają ściągnąć procenty. Jest już dzisiaj symptomatyczne, że przy wyborach głosy komunistyczne bratają się z żydowskimi. Może dlatego to — dodaje autor — odrodzona Polska dążąc do dania swemu terytorjum i swej ludności przedewszystkiem celowej organizacji, obdarza Żydów pewną stałą nieufnością, czując, że są oni bardzo obcymi całości państwa. Są więc Żydzi tylko widzami i Polacy pozwalają im na to. Młodzieńcza siła Polski, jej nieugięta wola, jej twórczy entuzjizm, oraz połączona z tem energja ekspansyjna lekceważą obecność tych widzów, którzy jednak tak wyglądają jakby mogli pewnego dnia wstąpić z kolei na scenę, gdyby jakiemu aktorowi powinęła się noga.

Polska pozwala, aby gminy żydowskie istniały, rosły i mnożyły się. Z dwóch polityk: represji lub wchłaniania, Polska nie stosuje żadnej, stosuje natomiast politykę trzecią obojętności. W Polsce nie ma zatem kwestji żydowskiej, choć może przyjąć chwila, gdy ten balast dwumiljonowy, odziedziczony po Rosji, zaciąży silnie odrodzonemu państwu polskiemu. i

Powierzchowne wywody p. Verganiego spotkały się, rzecz prosta, z ostrą odprawą ze strony prasy żydowskiej. Krakowski „Nowy Dziennik” pisze między innymi zupełnie słusznie:

„Mamy wrażenie, że nastawienie dziennikarza włoskiego wobec poruszonego przezeń problemu jest nawskroś naiwne, ażeby nie użyć wyrażenia silniejszego i drastyczniejszego. Pan ten był w Polsce prawdopodobnie na całym szeregu bankietów i przyjęć, był z pewnością na audjencjach u rozmaitych władz i dygnitarzy, był też niewątpliwie na różnych mniej albo więcej galowych przedstawieniach — i oto przekonał się, że Żydów na tych wszystkich placówkach „państwowotwórczej” pracy poprostu niema. P. Vergani z pewnością nie fatygował się do miast i miasteczek, do fabryk i warsztatów, do ciasnych i dusznych izb rękodzielniczych, do najrozmaitszego typu i rodzaju magazynów handlowych, do biur celnych i na dworce kolejowe, i do zapchanych wagonów trzeciej klasy, nie fatygował się do sal wykładowych i lektorjów uniwersyteckich — jednym słowem, Kochany ten pan Vergani odbył taką podróż po Polsce, jaką odbywają wszyscy nasi goście zagraniczni, podróż podczas której poznaje się wprowadzie separtki pierwszej klasy na kolejach żelaznych, jasno oświetlone gabinety restauracyjne i sale audjencjonalne w ministerstwach i województwach, ale nie poznaje się — Polski, jej ludności, jej pracy i jej rzeczywistości. Podczas takiej podróży nie poznaje się zaś w pierwszym rzędzie — Żydów i żydostwa. A jeśli potem chce się zwyczajem dziennikarskim pisać o wszystkim i wszystkich a więc także i o Ży-

dach—temat to wszak w Europie dziś nader interesujący—nadaje się im miano widzów, ponieważ nie widziano ich w tych miejscach, gdzie się samemu obracało, i może jeszcze dla tego, że się w tych właśnie miejscach niezawsze same o Żydach słyszało ...pochlebstwa“.

Tak jest w istocie. Wszyscy ci zagraniczni goście, którzy zjeżdżają do nas pod opieką ministerstwa spraw zagranicznych widzą tylko to, co im się pokazuje i słyszą tylko to, co mówią towarzyszący im troskliwi opiekunowie. Zwłaszcza u nas w Wilnie wszelkie wycieczki cudzoziemskie pozostają w specjalnie dobranym otoczeniu i otrzymują informacje z jednego źródła. Wywożą też zwykle wrażenia powierzchniowe i jednostronne. Można sobie wyobrazić, co taki p. Vergani napisał o Wilnie wogóle!

gm.

Niezbędne wyjaśnienie.

P. Michał Obieziński z okazji dziesięciolecia utworzenia K. O. K. poświęca dziejom tej organizacji dłuższe wspomnienie, a przy tej sposobności polemizuje z niżejpodpisany, zarzucając mu traktowanie życia „książkowo i szablonowo”, wołając patetycznie „Biada państwu, w którym inteligent zawodowy zwalczać lub pomniejszać będzie zasługi dzieci tej ziemi za przelaną krew lub pracę włożoną”.

A ja powiadam: „Biada społeczeństwu, w którym publicystyka wyolbrzymiać będzie zwykły obowiązek, spełniany przez obywateli”. Nie mam zamiaru na tem miejscu poddawać szczegółowej ocenie działalności K. O. K. Sam należałem do Komisji do spraw Litwy, która się utworzyła w Warszawie za czasów okupacji niemieckiej i znany mi jest dobrze przebieg narad nad utworzeniem K. O. K. i dywizji Litewsko-Białoruskiej. Usunąłem się z Komisji właśnie w owym momencie, ponieważ ani podobki organizatorów tej imprezy, ani ich dążenia, ani ich stanowisko zasadnicze w kwestji białoruskiej nie trafiały mi do przekonania. Monopol sfery ziemiańskiej na reprezentację ziem litewsko-białoruskich, który był i jest podstawą ideologii p. Obiezińskiego i jego przyjaciół politycznych, uważałem wówczas i uważam w dalszym ciągu za szkodliwy anachronizm i śmieszny przeżytek.

Dziś p. Obieziński swym wspomnieniom nadaje dźwięczny tytuł „Pod sztandarem: Orła i Pogoni”. Ale wówczas o Pogoni nikt z inicjatorów K. O. K. nie myślał. Nie było ani tego symbolu na odznakach wojskowych, nie przyświecała też idea W. Ks. Litewskiego w najśłabszym nawet stopniu twórcom dywizji litewsko-białoruskiej. Działał wyłącznie instynkt samozachowawczy.

Być może niektóre jednostki miały na względzie „polską mocarstwową rację stanu”, ale bynajmniej nie ideę Jagiellońską, której główną cechą stanowiły równouprawnienie i dobro wszystkich narodów, wchodzących ongiś w skład Rzeczypospolitej. Transponując ideę Jagiellońską na język i stosunki dzisiejsze można mówić jedynie o idei federacyjnej, w żadnym zaś razie o imperjalizmie polskim, którego zwolennikami byli i są p. M. Obieziński i niektórzy z ówczesnych działaczy z K. O. K. Większość zaś nie zaprzętała sobie głowy nawet i tego rodzaju mrzonkami. Myślała wyłącznie o odzyskaniu swych dóbr i gotowa była iść pod każdy

sztandar, któryby jej gwarantował uratowanie jej majątków. Wszakże ziemianie z okolic Braślawa i Dżisny wystosowali w r. 1918 memorjał do rządu niemieckiego, w którym błagali o ratunek i opiekę za cenę uznania panowania niemieckiego po wieczne czasy...

Oto dlaczego zapatruję się sceptycznie na rolę współczesnego ziemiaństwa we wszelakich poczynaniach o charakterze ideowym. Nie traktuję życia ani książkowo ani szablonowo, lecz przeciwnie trzeźwo, realnie i nazywając rzeczy po imieniu.

L. Abramowicz.

Z mego notatnika.

Proste rozwiązanie.

Pod nader szumnym tytułem „Zagadnienie najwięcej absorbujące pionierów pracy obywatelskiej na wsi” p. Józef Terlecki, nauczyciel szkoły powszechnej w Poszumieniu pow. Święciańskiego na szpaltach „Kurjera Wileńskiego” wymownie żali się na ciężką sytuację nauczyciela polskiego, pracującego wśród ludności litewskiej.

„Agitacja litewskich stowarzyszeń, umiejętnie prowadzona przez t. zw. półinteligencję litewską wytworzyła pomiędzy tutejszym Litwinem, a pracownikiem, pracującym na niwie kultury i oświaty — nienawiść. Nauczyciel rządowej szkoły, dzięki tej agitacji, jest uważany za — mówiąc po miejscowemu — „apostoła” polskości, jednostka, dążąca do wyrobienia dobrego obywatela Rzeczypospolitej, jest w pojęciu rozagitowanego włościanina litewskiego jednostką, która ma na celu wynaradawianie mniejszości narodowej, zaś każdy inny, który pracuje dla dobra ogólnego — jest polonizatorem. A więc czy pomiędzy tym ludem, będącym pod wpływem wrogich czynników można prowadzić nauczycielowi pracę wychowawczą? Czy kursa dokształcające, odczyty, uroczyste akademje, przedstawienia i zabawy, organizowane przez nauczyciela w języku miejscowym dla ogółu litewskiego są problemem rozwiązującym zagadnienie wychowawcze? Czy ofiarny wysiłek nauczyciela kresowego, pracującego w wymienionych okolicznościach zda się na co? Nie! Tam, gdzie istnieje oddział T-wa „Rytas” lub „Św. Kazimierza”, gdzie są liczni zwolennicy i sympatycy „rytasowców” i „kazimierzowców”, wszelka najofiarniejsza praca zawiedzie, a pracownika doszczętnie zniechęci.

„Mamy świeży przykład z Kołtynian, a mianowicie: frekwencję publiczności na uroczystym wieczorku w d. 11 listopada, organizowanym przez miejscowe Koło Młodzieży Wiejskiej i w d. 25 listopada organizowanym przez tamtejszy oddział T-wa „Rytas”. W wieczorze Koła Młodzieży wzięło udział kilkadziesiąt zaledwie osób — t. zw. miejscowej „szlachty”, natomiast organizowany przez T-wo „Rytas” cieszył się największą frekwencją publiczności — bo aż przepelnioną salą.

„Organizowanie Straży Ogniowej, Kółek Rolniczych jest pożądanym i koniecznym obowiązkiem nauczyciela, lecz wciąganie młodzieży litewskiej do tych organizacji napotka na poważne trudności, a wreszcie zmusi ją do zorganizowania własnego kółka, tak jak np. w Poszumieniu. W Poszumieniu staraniem miejscowego kierownika szkoły p. Brzozeckiego w r. 1926 zostało zorganizowane Kółko Rolni-

cze, należące do Z. K. i O. R. Ziemi Wileńskiej, — w roku bieżącym w Wilnie powstaje Litewskie T-wo Rolnicze i natychmiast we wsi Kretony, odległej o 1½ zaledwie klm. od Poszumienia organizuje się Litewskie Kółko Rolnicze. Rzecz naturalna, członkowie Kółka w Poszumieniu — Litwini zgłaszają przystąpienie do Kółka Litewskiego w Kretonach, wycofując się z Kółka Poszumeńskiego. Zaledwie dwa jaskrawe przykłady w miejscowościach odległych o kilka kilometrów, które miały miejsce w ostatnich czasach; dwa wypadki.., a tak dużo i wiele mówiące dla tutejszego nauczyciela—działacza—oświatowca—wychowawcy”.

Swe tragikomiczne sprawozdanie p. Terlecki kończy następującą apostrofą. „A jednak musimy szukać dróg prowadzących do celu, jaki ma przed sobą nauczyciel — wychowawca; czy to przez zbliżenie się ze społeczeństwem litewskim, czy też innymi metodami musimy my wszyscy pracownicy na polu dobra ogółu znaleźć wyjście z zakłamanego labiryntu”.

Ależ wyjście jest zupełnie proste, panie Terlecki! Trzeba tylko wyciągnąć logiczny wniosek z tej niezbitnej przesłanki, że ludność litewska powinna mieć szkołę litewską i nauczyciela Litwina... Wówczas nie będzie żadnych komplikacji, które niepotrzebnie wytwarzają sami panowie Terleccy. Trudno bowiem zrozumieć, czego chce autor korespondencji. Oburza go to, że jest on uważany za polonizatora, a czyż nie jest on nim w rzeczywistości? Jeżeli mu chodzi jedynie o szerzenie kultury i oświaty, o uspołecznienie ludu, to czemu z taką boleścią notuje fakt, że mieszkańcy Kołtynian tłumnie uczęszczają na wieczorki T-wa „Rytas“, a mieszkańcy Poszumienia zapisują się na członków litewskiego kółka rolniczego? Czyż jest to objaw dzikości i ciemnoty? Sam p. Terlecki powiada, że jest to rzecz naturalna, że ludność litewska ciąży do organizacji litewskich. I ma zupełną rację. Nie ma jej natomiast, gdy dowodzi, że jest on powołany do kierownictwa i wychowywania ludu litewskiego pomimo, a nawet wbrew miejscowym działaczom oświatowym litewskim. Jest to najfałszywszy pogląd, zaczerpnięty z wzorów polityki rządowej rosyjskiej w Polsce, która zawsze usiłowała trafić do ludu polskiego, z pominięciem inteligencji polskiej, czego oczywiście dokazać nie potrafiła.

Jedyne wyjście, to właśnie zbliżenie się ze społeczeństwem litewskim, o czym p. Terlecki wspomina mimochodem i bez głębszego przekonania, a wszelkie „inne metody“ napewno zawiodą.

Krajowość i ksenofobia.

Wielką niespodziankę sprawiła mi p. Helena Romer. Zamiast zgromić — jak się spodziewałem — J. Mr-skiego za jego nieprzyzwoitą napaść na nasze piśmo, wdała się w polemikę ze mną i ujęła się za swym kolegą redakcyjnym w taki sposób, że nie mogę sobie zdać sprawy, gdzie się kończy p. J. Mr-ski a zaczyna p. H. Romer. Solidarność koleżeńska posunięta, doprawdy, zadaleko...

P. Romer ma pretensję do mnie, że nie odpowiedziałem na zarzuty J. Mr-skiego „dokumentnie“ i że tego rodzaju polemika nie prowadząc do celu, staje się w końcu mętna i jałowa. Ależ zapewniam solennie, że nie miałem najmniejszego zamiaru polemizować z J. Mr-skim. Czyż można poważnie traktować głupi paszkwil? Nie zasługiwał on nawet na taką odpowiedź, jakiej mu udzieliłem. Należało go

zignorować zupełnie. Zarzuty J. Mr-skiego natomiast ponownie podnosi p. H. Romer i szeroko je motywuje w sposób o wiele bardziej rzeczowy, ale nie będą już wracał do tematów przebrzmiałych i błahych, w których momenty natury osobistej, niezrozumiałe dla szerokiego ogółu czytelników, odegrywają rolę dominującą. Jeżeli wspominał o wystąpieniu w obronie J. Mr-skiego p. Heleny Romer, to jedynie dlatego, że poruszona została w niem między wielu sprawami podrzędnymi jedna kwestja zasadnicza, która mimo, że była już niejednokrotnie omawiana, nie traci wciąż swej aktualności i stale wywołuje pewne roznamietnienie.

Wyplęnęła ona na łamy prasy wileńskiej akurat rok temu z okazji wystawienia przez p. Łopalewskiego „Betlejek Ostrobramskich“ i krytyki tego utworu przez p. Cz. Jankowskiego. Zabierali w niego głos ci i owi, a nestor literatów wileńskich zapowiedział w „Słowie“ cykl artykułów p. t. „O Wilno stare i nowe“, gdzie miał szeroko uzasadnić swój punkt widzenia na wartość i znaczenie dla Wilna akcji kulturalnej, prowadzonej intensywnie przez żywioly napływowe. Niestety zamiaru swego p. Cz. Jankowski nie wykonał, dyskusja więc rzeczowa się urwała; pozostało tylko wrażenie, że „krajowcy“ rozmaitych odcieni i autoramentu chcą się odgrozić chińskim murem od wszelkich wpływów zzewnątrz, są nieufni, podejrzliwi, niechętnie wyposażeni względem nowych prądów, nowych myśli, nowych ludzi.

W tem wszystkim jest prawdą jedynie, że są nieufni, a mają po temu wiele słuszych powodów. Nie znaczy to jednak, by patrzyli wrogo, z podębą na każdego przybysza z Galicji i Kongresówki i propagowali hasło samowystarczalności kulturalnej Wilna. Byłaby to już jakaś dziwaczna ksenofobia, jakies kultuństwo małomiasteczkowe. Oczywiście nikt rozsądny podobnych uczuć nie żywi.

Pamiętamy wszakże, że i Śniadeccy swego czasu przybyli do nas z Poznańskiego i Kraszewski nie był z pochodzenia Wilnianinem i Bieliński osiadł w Wilnie trafem a cały szereg profesorów dawnego Uniwersytetu Wileńskiego, którym kraj nasz tyle zawdzięcza, jak Wolfgang, Frank, Grodeck, Rustem, Saunders, Bojanus zgoła byli cudzoziemcami. I przed wojną nie było rzadkością, że napływały do nas siły kulturalne z Warszawy. Wystarczy wymienić Benedykta Hertza, Wojciecha Baranowskiego, L. Rogowskiego, A. Wyleżyńskiego, A. Zwierzyńskiego i wielu innych. Witaliśmy ich uprzejmie, żyliśmy z nimi przyjaźnie i niejednego, gdy opuszczał Wilno, żegnaliśmy z żalem. Ale ci dawniejsi przybysze byli jacyś skromniejsi, umieli się dostosować do atmosfery miejscowej, nie grali roli mentorów i reformatorów, a przedewszystkiem nie rościli z punktu pretensji do reprezentowania Wilna. Przyglądali się mu, poznawali je, starali się żyć z niem, ale nie traktowali jego jako kolonii, a swej pracy, jako misji cywilizacyjnej. Jedni z nich się zaaklimatyzowali, inni nie.

Niewątpliwie i ta ostatnia olbrzymia fala, która napłynęła do nas po wojnie, obok piasku, mułu i wodorostów przyniosła ze sobą nie jedna cenna muszla, nie jeden wartościowy bursztyn. Ale trzeba czasu, by się na tem poznać. Trzeba też czasu, aby się przekonać, co odpływ ze sobą zabierze a co będzie mocno trzymało się naszego gruntu. Jak długo? Na to pytanie trudno odpowiedzieć. Niema w tym względzie żadnej reguły. Aby uzyskać obywatelstwo polskie, trzeba przemieszkać w Polsce 10 lat. W innych

państwach, krajach i gminach termin jest krótszy. Nie chodzi tu zresztą o stronę formalną. Chodzi o co innego. Chodzi o to, by taki *homo novus* potrafił uszanować miejscowe tradycje i odrębności, zrozumieć psychikę społeczeństwa miejscowego, zżyć się z obcym mu środowiskiem, słowem, żeby nastąpił normalny proces asymilacji.

Byłoby śmiesznością nie uznawać możliwości imigracji nowych elementów, ale nie należy też zatracać do reszty poczucia *obywatelstwa krajowego*,

Licz.

Rażąca anomalja.

Przed kilku laty, dobrze jeszcze przed przewrotem majowym, w tem samym miejscu poruszaliśmy sprawę niesprawiedliwego traktowania dość licznej wówczas kategorii ludności, nie posiadającej jeszcze obywatelstwa a zmuszonej jednocześnie do płacenia podatków i dawania rekruta. Pocieszano wówczas skarżących się na krzywdę, że sprawa ta zostanie wkrótce uregulowana i że anomalja ta zniknie, jak wiele innych objawów stanu przejściowego. Istotnie od tego czasu większość otrzymała prawo obywatelstwa. Jednakże i dziś pozostała pewna, mniej lub więcej liczna grupa osób, które dotąd z tych lub owych względów nie uzyskały prawa obywatelstwa polskiego, a jednocześnie nie mogą się wykazać żadnym obywatelstwem obcym. Otóż co do tej kategorii ludności ustawa wojskowa wydana w r. 1924 wyraźnie orzeka, że jest ona obowiązana do służby w wojsku polskim. Z drugiej zaś strony ustawa o obywatelstwie głosi jasno, że służba w wojsku polskim nie daje prawa do uzyskania obywatelstwa polskiego.

W jakże więc dziwnej sytuacji znajduje się taki „bezpamiętnowiec”! Nie będąc obywatelem państwa polskiego, a więc nie mając wobec niego żadnych obowiązków zgodnie z dotychczasową praktyką prawa międzynarodowego, zmuszony on jest do *składania przysięgi* na wierność ojczyźnie, która formalnie nie jest jego ojczyzną! Cóż warta taka przysięga i czy można rachować w czasie wojny na żołnierza, od którego wymaga się ofiar i poświęcenia, nic mu wzamian nie dając? Wprawdzie istnieje podobno okólnik, czy też głęboko ukryty w obszernej ustawie paragraf, upoważniający „bezpamiętnowców”, pociągniętych do służby wojskowej do składania podań o zwolnienie od tego obowiązku i nakazujący urzędowi uwzględnianie tych podań, ale szerokie koła zainteresowane nic o tem wyjściu nie wiedzą, a władze z własnej inicjatywy nie informują ich o tem wcale.

Nadmienić należy, że większość owych „bezpamiętnowców” nie otrzymała dotąd prawa obywatelstwa polskiego bynajmniej nie z braku chęci w tym kierunku, lecz jedynie wskutek nieprzychylnego stanowiska administracji, kwestjonującej ich lojalność państwową lub wysuwającej inne przeszkody w tym rodzaju. Ale jakaż tu jest konsekwencja? Jeżeli ktoś jest uznawany za mało lojalnego, by dostąpić zaszczytu zostania zwykłym obywatelem państwa polskiego, to tem bardziej chyba nie posiada kwalifikacyj do noszenia munduru żołnierza polskiego? Czyż służba w wojsku nie jest bardziej odpowiedzialną, niż inne funkcje, do których uprawnia posiadanie obywatelstwa polskiego?

Rażąca ta anomalja powinna być jak najprędzej usunięta. Jedno z dwojga; albo ten, kto nie posiada obywatelstwa polskiego, nie może służyć w wojsku polskim, albo skoro odbył powinność wojskową, *eo ipso* powinien się stawać obywatelem polskim. Wymaga tego logika i elementarne poczucie sprawiedliwości.

E. Ł.

List do redakcji.

Szanowny Panie Redaktorze!

W prasie warszawskiej (A.B.C. a teraz „Przedświt”) czytamy od czasu do czasu perełki twórczości „literata i essay'isty” Eugenjusza M. Schummera o Litwie Kowieńskiej. Nazwisko to nam Wilnianom nie jest nieznane. Przypominamy sobie żywo „essave” E. M. Schummera z przewodnika po Wilnie Kłosa i innych artykułów i prac. Nie zwracaliśmy na nie uwagi, gdyby nie dotyczyły Litwy Kowieńskiej. Prasa stołeczna i reszta Polski sprawę naszych stosunków z Kownem traktuje niesłychanie pobieżnie. co w żadnym wypadku nie może sprzyjać rozproszeniu oparów nienawiści i szowinizmu, w jaki problem polsko-litewski jest spowity.

Występy „literata i essay'isty” nieciekawej sławy na bruku wileńskim, zapowiadającego wydanie całej książki o Litwie współczesnej napawają nas zrozumiałem przerażeniem. Czy nie było by sposobu skłonienia p. E. M. Schummera. a właściwie redakcyj pism stołecznych aby z większą oględnością traktowały wynurzenia p. S. M. Schummera o Litwie?

Ten sam „essay'ista i literat” w „Świecie” zalicza Herbaczewskiego z „którym zgadza się w poglądach” do ludzi współczesnych Norwidowi (!) Podobnych głupstw w korespondencjach essay'isty”, drukowanych w A.B.C. było pełno.

Przeszły w Wilnie one bez echa z powodu, że A. B. C. jest wogóle u nas nie czytane. Puszczanie na łamy prasy produkcyj autorów typu E. M. Schummera jest miarą stosunku prasy stołecznej do sprawy, która jest dla nas jedną z najważniejszych.

Czy nie uważał by Pan Redaktor za wskazane napiętnować podobne zjawisko i zaprotestować przeciwko dalszym „autorytatywnym oświadczeniom” „essay'isty”.

Proszę przyjąć etc.

Kazimierz Zubowicz.

Przyp. Red. Autor powyższego listu ma zupełną słuszność. oburzając się na prasę warszawską za jej stosunek lekceważący względem tak poważnego i trudnego zagadnienia, jakim jest zatarg polsko-litewski. Nie zwracaliśmy uwagi na elukubracje p. E. Schummera, ponieważ nie są one czemś wyjątkowym. Zdarzało się nam czytać w prasie warszawskiej i krakowskiej rzeczy, jeszcze bardziej płytkie i rażące swą ignorancją. Ale na to niema rady. Czegoż można wymagać od prasy brukowej, gdy i poważne organy grzeszą stale brakiem zrozumienia naszych spraw i stosunków? A czy i prasa wileńska nie jest pod tym względem bez zarzutu?

Piszą do nas.

Biednemu wiatr wieje w oczy.

W powiecie Świeciańskim istnieje wioska Pietraszuny (gm. Twerecka), która przed wojną odznaczała się zamożnością i cieszyła się b. dobrą opinią w szerokiej okolicy. Przyszła wojna i nastąpił moment, kiedy wojska rosyjskie musiały się cofnąć na wschód. Pietraszuny znalazły się na linii frontowej, wojska niemieckie wybudowały tu słynne okopy betonowe, po dziś dzień istniejące, gospodarzy zaś ewakuowano w głąb Litwy. Częsty ogień huraganowy artylerji rosyjskiej zniszczył do dna wioskę,—pozostały tylko okopy niemieckie. Skończyła się wojna. Niemcy wycofali się, ludność wróciła na zgliszcza, które tak zniekształciły wioskę, że trudno było poznać, gdzie stały chaty. Był to straszny obraz znisz-

czenia: popiół, cegły bezładnie porozrzucane, wioska jak i również pola skopane rowami. Ludność w ciężkich warunkach zabrała się do pracy. Jedni zamieszkali w okopach, inni znów wybudowali prowizoryczne szalasy, które jakotako ochraniały od deszczów i wiatrów.

Gospodarze nie zabierali się do stawiania dobrych budynków (dziś jeszcze ich niema), gdyż zdecydowali się na komasację gruntów.

Zwrócono się tedy do Urzędu Ziemińskiego w Wilnie z prośbą o scalenie gruntów. Urząd Ziemiński w 1927 r. przysłał do wsi geometrę Jana Forbrodka, który siedział kilka miesięcy we wsi i wykonywał swoją pracę. Jednakże połowa gospodarzy z jej wyników jest bardzo niezadowolona. Posypały się skargi do Urzędu Ziemińskiego, do województwa (niektórzy noszą się nawet z zamiarem wystąpienia podania do Ministerstwa Reform Rolnych), ale do tej pory nie otrzymano żadnej odpowiedzi, któraby pozwoliła mieć nadzieję, że zdecydowano się na przeprowadzenie rewizji i koniecznych poprawek. Są one niezbędne. Przykłady nieudolności, czy złej woli geometry, w podaniu do Urzędu Ziemińskiego były szczegółowo wymienione. Wystarczy tu zanotować jeden fakt. Pewien gospodarz dostał taką kolonję, że nie może postawić żadnych budynków, gdyż cała jego posiadłość składa się z mokrych łąk.

I jeszcze jeden fakt: wieś posiada łąki, oddalone o 7—8 kilom., których geometra nie widział na własne oczy, a jednak dzielił je wśród gospodarzy.

Na kogo spada wina? Oczywiście na geometrę, przeciwko któremu podnoszone są liczne zarzuty. Głośno mówią, że ci są zadowoleni, którzy nie żalowali złota i dolarów. O różnych wybrykach państwa geometrowstwa (była i żona) nie warto i wspominać, jak wyłudzenie kilimów, jaj, chleba na karmienie kurczaków i t. d. Wogóle zachowanie się geometry wobec wieśniaków pozostawiało wiele do życzenia.

Być może opinię taką o p. geometrze wyrobili malkotenci, którzy muszą zawsze być w podobnych okolicznościach, gdyż wszystkich zadowolili nie sposób, ale władze powinny sprawę tę zbadać i wyciągnąć odpowiednie wnioski.

Stanowisko święciańskiego komisarza ziemińskiego jest niezmiernie dziwne. Zamiast wykazać bezstronność i przeprowadzić dokładne dochodzenie, p. komisarz niedwuznacznie popiera geometrę. Zresztą, zdaje się, wie coś niecoś o tej sprawie też i Urząd Ziemiński.

Wreszcie czy dopuszczalne jest żądać od gospodarzy podpisów na czystym papierze, a gdy jeden z pośród nich stanowczo odmówił podpisu, został wymyślany od chamów, bolszewików i t. d.?

Demokratyczna w założeniu reforma rolna, posługuje się jednakże w praktyce metodami bynajmniej nie demokratycznymi.

V. Cziwokas.

KRONIKA.

Anathema. Dn. 25 października odbył się w Wilnie zjazd przedstawicieli Białoruskiej Chrześcijańskiej Demokracji, którego uchwały oraz ogłoszony w piśmie „Biel Krynica” program stronnictwa wywołały gwałtowne ataki ze strony „Słowa” i „Dziennika Wil.”, dopatrujących się w tej akcji takich samych niebezpiecznych tendencji, jak w zlikwidowanej „Hramadzie”.

Ataki te potraktowała „Biel Krynica” w Nr. 55 z dn. 7 b. m. dość lekceważąco, podając jednocześnie do wiadomości fakt wręczenia J. E. ks. arcybiskupowi Jąbrykowskiemu memorandum zawierającego uchwały zjazdu przez prezesa centralnego komitetu B. Ch. D dr. I. Hahałińskiego i sekretarza J. Poźniaka, przyczem redakcja nadmieniła, że ks. arcybiskup przyjął delegatów dość życzliwie, chociaż postulatów zjazdu nie zaaprobował.

Jakież zdumienie musiało ogarnąć organizatorów i uczestników zjazdu, gdy w kilka dni potem w „Słowie” i „Dzienniku Wil.” ukazała się odezwa J. E. ks. arcybiskupa i metropolity wileńskiego, potępiająca surowo stronnictwo Białoruskiej Chrześcijańskiej Demokracji za uleganie „błędom indyferentyzmu religijnego i bolszewizmu”. Odezwa kategorycznie zabrania katolikom, a tembardziej kapłanom katolickim należeć do wspomnianego stronnictwa, a jednocześnie zakazuje również katolikom „prenumerować, czytać, rozpowszechniać, współpracować lub też w jakikolwiek sposób popierać czasopismo, które nosi nazwę „Bielaruskaja Krynica”.

Nas jednakże to wystąpienie Ordynariatu nie zdziwiło wcale. Kampanja „Słowa” i „Dziennika Wil.” była aż nadto symptomatyczna.

Z prasy litewskiej. Poczynając od grudnia przestały wychodzić ukazujące się co drugi dzień „Vilnius Aidas”, tygodnik „Kelias” oraz czasopismo rolnicze „Dirva”. Zamiast tych trzech pism zaczął się ukazywać tygodnik ilustrowany „Vilniaus Rytjuas” o znacznie powiększonej objętości i nader urozmaiconej treści. Drugi wszakże z kolei numer tego wydawnictwa uległ konfiskacji.

Dwukrotnie z rządu skonfiskowany został również dwutygodnik „Życie Ludu”.

To, na co nie zwraca się uwagi. Korespondent „Biel Krynicy” z Wiszniewa w pow. Woleżyńskim pisze ze smutną ironją: „W naszej okolicy mieszkają Białorusini katolicy i prawosławni. W miasteczku naszym jest cerkiew prawosławna i jest kościół katolicki. Księdzem katolickim jest Polak, duchownym prawosławnym zaś — Rosjanin. W cerkwi kapłan przemawia do wiernych po rosyjsku, a w kościele — po polsku. Wszyscy zaś par. fjanie, gdy wyjdą — jeden z kościoła, drudzy z cerkwi — rozmawiają ze sobą tylko po białorusku”. I tak jest wszędzie. Czyż można dziwić się wobec tego, że stan kulturalny ludu białoruskiego jest tak niski i że anormalne warunki bytowania wywołują objawy patologiczne w zbiorowej duszy chłopu białoruskiego?

Projektomanja. Magistrat wileński, nie posiadający środków na najpotrzebniejsze inwestycje miejskie, jak bruki i chodniki, bawi się ciągle w rozmaite projekty reformatorskie, ani potrzebne, ani realne. Świeżo w kołach magistrackich powstał projekt przebiecia nowej ulicy równoległej do Ostrobramskiej, a to w celu zamknięcia ruchu kołowego przez Ostrą Bramę. Przeciwko projektowi gorąco zaprotestowało „Słowo”, które zorganizowało nawet specjalną ankietę w sprawie tego niewczesnego pomysłu naszych ojców (a raczej, jak to podkreślił ktoś kiedyś dzielnicy) miasta. Na szczęście jesteśmy pewni, że projekt nie dojdzie do skutku, nie z powodu protestu „Słowa” i szeregu osób z niem się w tym wypadku solidaryzujących, lecz dla tej prostej przyczyny, że tego rodzaju przedsięwzięcie, wymagające zburzenia szeregu budynków i wywłaszczenia prywatnych gruntów jest mocno kosztowne. Kasa zaś miejska jest chronicznie pusta.

Nauka poszła w las. „Słowo” donosi na podstawie wiadomości ze źródła wiarygodnego, że b. przywódca eserów białoruskich Mamońko, który nie tak dawno opuścił Wilno i udał się do Mińska, został z rozkazu G. P. U. aresztowany i wwieziony na wyspy Sołowieckie razem z czterema innymi swymi kolegami, przebywającymi uprzednio w Kownie. Los nieszczęsnego Olechnowicza, który niebacznie zaufał władzom, sowieckim, jak widać, nie był dostateczną nauką dla łatwowiernych działaczy białoruskich. Może teraz będą ostrożniejsi.

Humorystyczny dodatek. „Krakowski III. Kurjer Codzienny”, który posiada w Wilnie własnego korespondenta, podpisującego się literami Hr. zamieścił niedawno wiadomość o projekcie wystawienia w Wilnie pomnika Montwiłowi — Mireckiemu. Trudno przypuścić, aby p. Hr., który tyle zawdzięcza osobie ś. p. Józefowi Montwiłowi, popełnił tak rażący błąd i działacza społecznego wileńskiego utożsamiał z głośnym rewolucjonistą, powieszonym na stokach cytadeli warszawskiej w r. 1906. Zapewne dodatek ten uczyniła z własnej inicjatywy redakcja krakowskiego kurjera, która oczywiście nic nigdy nie słyszała o filantropie wileńskim i jest śmiało przekonana, że Wilno chce uczcić pamięć bojowca P.P.S. Jakież to wysoce charakterystyczne!